ROZMAITOŚCI.

Dnia 14 lutego, Ner 7. roku 1846.

ODWET,

CZYLI:

ZMIANY LOSU KAPITANA PAMPHILE.

(*Przez Aleks. Dumas*)

Działo się to w najdalszym końcu Oceanu Atlantyckiego pomiędzy Islandyją a przylądkiem Farewell. Tam nasz dawny przyjaciel kapitan Pamphile, pomimo że chętnie żeglował ku wschodowi, obrócił teraz podróż swoję w celu użytecznym a jeszcze więcéj zyskownym. Chciał on zaprowadzić na północy system zamiany, który z dobrym skutkiem prowadził na Archipelagu Indyjskim, gdzie od niejakiego czasu, nie udawał mu się zbyt korzystnie ten handel, a wreszcie uczuł niepohamowaną żądzę odmienić sposób postępowania i zwidzić nowe okolice. Lecz tymrazem zamiast zająć się handlem korzeniami albo herbatą, zajął się tłuszczem wielorybim.

Z charakterem walecznego marynarza, wcale się nie trudnił rekrutowaniem majtków wyćwiczonych do połowu wielorybów, ani też naładowaniem swego okrętu szalupami, linwami, powrozami i hakami, lecz tylko przy odpłynieniu obejrzał działa służące zarazem do równowagi okrętu, opatrzył strzelby, porozdawał pałasze, zapewnił się w żywność na sześć tygodni, a w takim stanie minąwszy cieśninę Gibraltaru, w miesiącu wrześniu, to jest, w czasie gdy połów odbywa się z największą czynnością, przybył około sześćdziesiątego stopnia szerokości geograficznéj, i rozpoczął czynnie uskuteczniać swój przemysł.

Kapitan Pamphile lubił bardzo życie czynne, a postępując energicznie w całéj téj wyprawie, powracał z napełnionemi beczkami w wielkiéj liczbie i z pięćdziesięcioma próżnemi; aż oto przebywając wysokość mielizny około Nowéj Ziemli, spotkał przypadkiem okręt powracający z połowu sztokfiszów. Kapitan Pamphile oddając się wielkim spekulacyjom, niepogardzał wcale i małemi; pięćdziesiąt beczek próżnych dał w zamianę rybakom za takąż samę liczbę beczek pełnych. Polikar jego porucznik spostrzegł, że beczki pełne były o trzy cale na wysokość mniejsze niżeli beczki próżne; lecz kapitan Pamphile mało zważał na ten stosunek, z przyczyny, że sztokfisz miał być zupełnie świeży; przeglądał tylko beczki jednę po drugiéj, aby się zapewnić, czy ryby były dobrego gatunku; kazał dna beczek pozabijać i upakować je na spodzie okrętu, zostawując tylko jednę na swój użytek.

Tego wieczora przy zasiadaniu do kolacyi, doktor osady prosił kapitana w imieniu okrętowéj czeladzi, o wydzielenie im trzech lub czterech beczek sztokfiszu świeżego. Już prawie od miesiąca żywność była wyczerpana, a majtkowie nie jedli nic więcéj jak tylko cienko wydzielane kawałki wielorybie, i kotlety z psa morskiego. Kapitan pytał doktora, czyliby żywności brakowało; doktor odpowiedział, że jeszcze się znajduje pewna ilość z téj, którąśmy dopiéro wzmiankowali, lecz że ten rodzaj pożywienia przemierzł, i bardzo jest zdrowiu szkodliwy. Kapitan Pamphile odpowiedział, że jest bardzo zasmucony, lecz że właśnie ma od domu handlowego Bera et Comp. z Marsylii obstalunek na czterdzieści dziewięć beczek sztokfiszu solonego, i że nie może brakować ani jednéj w tak zyskownym handlu, a wreszcie jeżeli osada chce mieć świeży sztokfisz, może go sobie złowić, na co daje jéj nieograniczone pozwolenie. Doktor wyszedł. W dziesięć minut kapitan Pamphile usłyszał wielki krzyk na okręcie Roxolana. Wiele głosów dało się słyszéć: do broni! do broni! a jeden majtek zawołał: „Niech żyje Polikar, precz z kapitanem Pamphile!" Kapitan spostrzegł, że był czas pokazać się. Wstał od stołu, włożył parę pistoletów za pas, zapalił fajkę, co nie czynił jak tylko podczas wielkich burz; wziął do ręki dyscyplinę wyrabianą starannie z wielką misternością, któréj tylko w znakomitych okolicznościach używał, i tak uzbrojony udał się na pomost, gdzie zastał rozruch powszechny.

Kapitan Pamphile postąpił w pośród osady, podzielił ją na dwie części, spoglądając na prawo i na lewo, aby ujrzéć czy jest zpomiędzy wszystkich tych ludzi aby jeden zuchwły, któryby śmiał do niego zwrócić buntowniczą mowę. Dla obcego zda-

wałoby się, że kapitan czyni zwyczajny przegląd, lecz dla osady okrętu Roxolana, która znała go jak stary szeląg, było to wcale inną rzeczą. Wiedziano, że kapitan Pamphile nie był nigdy skorszy do wybuchu gniewu, jak gdy milczał, a na ten raz przybrał spokojność okropną. Nakoniec przeszedłszy wokoło dwa lub trzy razy, zatrzymał się przed swym porucznikiem okrętowym, który zdawał się być równie jak inni uczestnikiem buntu. — „Polikarze, mój towarzyszu,” rzekł do niego kapitan, »wejdź prędko do kajuty i nie wychodź ztamtąd, aż cię wezwę, rozumiesz mię dobrze Polikar?” — „Rozumiém kapitanie” rzekł Polikar zchodząc po schodach. — „Ten chłopiec jest bardzo pojętny” mówił daléj kapitan Pamphile: poczém przeszedł się na nowo trzy razy po pomoście, i zatrzymał się przed majstrem ciesielskim trzymającym łopatę — „Dzień dobry Jérzy» rzekł do niego kapitan, „co to za zabawka?»— „Mój kapitanie,” wyjąknął cieśla, „jest to łopata do wyrzucania śmieci.” Kapitan wziął ją w ręce, i złamał na dwoje jak kawałek kruchego kija. — »Jak widzę lubisz czystość; dobrze przyjacielu, jestto pół-cnotą, jak mówią Włochy.” Dał znać posługaczom, aby się zbliżyli. — »Pójdźcie tu, weź każdy pręt w rękę i wytrzepcie mocno suknie Jérzego, a ty zaś Jérzy, moje dziécię, połóż się.” — »Wiele uderzeń kapitanie?” spytali się posmagacze. „Dwadzieścia pięć każdy.”

Wymiar rozkazu rozpoczął się, kapitan liczył razy, przy trzydziestym, Jérzy zemdlał. — »Dobrze,” mówił kapitan, »zanieście go do hamaku, odda mu się resztę jutro; każdemu, co się należy.”— Wykonano rozkaz kapitana z posłuszeństwem. Znowu obszedł trzy razy pomost, poczém zatrzymał się ostatecznie przed majtkiem, który krzyczał: »Niech żyje Polikar, precz z kapitanem Pamphile!”— „Bezczelny!” rzekł do niego »zagrażasz mi zniszczeniem; to jest bardzo niebezpieczne, jeżeli się temu niezapobieży skutecznem lekarstwem .. Doktorze, przyszléj mi czterech cernlików ” — Doktor wyznaczył czterech ludzi.— „Pójdźcie tu moi mili,” rzekł kapitan, „i wykonajcie dobrze mój rozkaz; weźcie ten postronek, przedziergnijcie przez kółko téj windy... jednym końcem obwiążcie na węzeł koło szyi tego zacnego chłopca, a drugim pociągniecie aż do wzniesienia go w górę na stóp trzydzieści... zostawicie go tak przez dziesięć minut, poczém spuścicie go na dół; zwińcieże się żwawo moi mili.”— Egzekucyja rozpoczęła się w cichości, i uzupełniła co do punktu, bez najmniejszego szemrania ze strony reszty widzów. Kapitan Pamphile tak pilnie uważał na najmniejsze poruszenia wszystkich, że pozwolił swéj fajce zgasnąć. Dziesięć minut potém, spuszczono ciało majtka buntowniczego na pomost bez życia. Doktor przybliżył się do niego i zapewnił, że niezawodnie życie zakończył, poczém przywiązano mu jednę kulę do szyi, a dwie do nóg i wrzucono go w morze — „Teraz” rzekł kapitan, wyciągając z ust cybuch z zagaszoną fajką, „idźcie wszyscy razem zapalić mi fajkę, i aby tylko jeden z was napowrót mi ją przyniósł.”- Majtek najbliżéj stojący obok kapitana, wziął z oznaką najgłębszego uszanowania rzeczoną relikwiję, którą mu podał jego przełożony i zeszedł schodami pod pomost w towarzystwie całéj załogi, zostawując kapitana samego z doktorem. W moment kuchta okrętowy Double-bouche pokazał się, trzymając w ręce zapaloną fajkę.— »Ah, to tyś rozbójniku” rzekł kapitan. „Co ty robiłeś podczas gdy ci poczciwi ludzie przechadzali się po pomoście, rozmyślając o swoich zamiarach; odpowiadaj hultaju.” »Na honor;” odpowiedział kuchta, uważając po minie kapitana, że niéma się czego obawiać, „maczałem chléb w garnku przystawionym do ognia, aby widzieć czy rosół był dobry, a moje palce w rondlu, aby się zapewnić, czy sos był dostatecznie słony.” „A więc, niecnoto! wybierz najlepszy kawałek z garnka i najlepszy kawałek z rondla, a z reszty zrób polewkę dla mego psa; co zaś do majtków, będą jedli chléb suchy i pić wodę czystą przez trzy dni, to ich uchroni od szkorbutu.— Idźmy do obiadu doktorze.” I kapitan wszedł do swego pokoju, kazał dać nakrycie dla swego gościa, i zasiadł do jedzenia świéżego sztokfiszu, jak gdyby nic się nie stało pomiędzy nim a jego osadą.

Wstawszy od stołu, wszedł kapitan na pokład przekonać się, czy wszystko jest w porządku; znalazł każdego na swojém miejscu. Okręt płynął z rozwiniętémi żaglami mając po lewéj stronie mieliznę Nowéj Ziemli, a po prawéj zatokę śgo Wawrzeńca; wiatr dął pomyślny. Tymczasem kapitan Pamphile, po dniu tak burzliwym, spodziéwając się spokojnéj nocy, wszedł do swego gabinetu, rozebrał się, zapalił fajkę, i wsparł się w otwartém oknie spoglądając na fale odbijające się od boków okrętu; był tak już prawie od dwóch godzin przechylony połową swego ciała za okno; gdy oto nagle uczuł się być silnie pochwyconym za kołnierz swéj sukni i za spód pantalijonów; wtymże samym czasie te dwie ręce, które sobie pozwoliły téj poufałości, przechylały jego korpus za okno tym sposobem, że nogi kapitana Pamphile podnosząc się z ziemi, znalazły się bezpośrednio wyżéj wzniesione aniżeli jego głowa; kapitan chciał wołać o pomoc, lecz niebyło już czasu, i w chwili, gdy otworzył usta, osoba, która czyniła na nim tę niespodziéwane i dziwne doświadczenie, widząc, że korpus przybrał już stopień utracenia równowagi, puściła na raz z swych rąk ofiarę, a kapitan Pamphile posłuszny pomimo chęci zamiarowi swego przeciwnika, oraz prawom przewagi, stoczył się prostopadle głową, i zniknął w nurtach morskich pod okrętem Roxolana, który żeglował naprzód wspa-

niale i szybko, ani myśląc że owdowiał po swoim kapitanie.

Nazajutrz rano o dziesiątéj godzinie, gdy kapitan Pamphile, podług swego zwyczaju nie pokazał się jeszcze na pomost okrętu, doktor wszedł do jego pokoju i znalazł go pustym; w jednymże momencie okrzyk się rozległ pomiędzy osadą; gdy się przekonali że ich wódz zniknął, dowództwo okrętu przechodziło prawem na porucznika; wyciągnięto tym sposobem Polikara z gabinetu, gdzie odbywał z wielkiém posłuszeństwem areszt, i okrzyknięto go kapitanem. Piérwszym czynem nowego dowódzcy, było rozdanie każdemu majtkowi racyi sztokfiszu, dwóch racyj wódki i uwolnienie Jérzego od dwudziestu kijów, które pozostały mu do odebrania. Trzy dni po tym wypadku nie było już ani wzmianki o kapitanie Pamphile na okręcie Roxolana, jak gdyby ten godny marynarz, niebył nigdy na świecie.

Nasz przyjaciel zaś Pamphile po pięciogodzinném natężoném pływaniu, natrafił szczególnym przypadkiem na odłamek okrętowy, a odpocząwszy na nim z godzinę, płynął gdzie go fale morskie niosły; nakoniec pojmany był przez rozbójnika morskiego z dzikiego narodu, który oświadczył kapitanowi, że go mianuje swoim niewolnikiem, i obyczajem dzikich, kazał go namalować od stóp do głowy; lecz nie bardzo pilnie strzeżony, wymknął się im z rąk, i błądził dwa dni na brzegach rzéki Delaware. Uchroniwszy się od niebezpieczeństw nasz bohatér, przybliżał się do Filadelfii, postępował wesoło, widząc już naprzód dla siebie odpoczynek po tak ciężkich trudach, podziwiając wspaniałe widoki, okazujące się jego oczom. Przybywszy na wierzchołek małego pagórka, spostrzegł na pół mili przed sobą coś nakształt punktu czarnego; postępował więc na jego spotkanie. Nie mógł się zdala o tém co było przekonać, ponieważ odległość była za daleka; szedł więc wciąż naprzód z wesołą miną, gwiżdżąc i wywijając młynka swoją laską; gdy już ten sam przedmiot okazał się wyraźniéj jego oczom, kapitan złożył obydwie ręce do oczów nakształt dalowidza i mniemał widzieć przed sobą murzyna. Spotkanie to było tém bardziéj dla kapitana dogodném, im mniej był chętny przepędzić tak noc trzecią, jak dwie poprzedzające; chciał więc dowiedzieć się od niego o miejscowém położeniu; podwoił kroku, żałując, że powstający kurz z wiatru, zasłaniał przed jego widokiem tego, który mógłby mu dać objaśnienie tak pożądane. Miał nadzieję znaleźć go za wierzchołkiem małego pagórka, który stanowił połowę drogi pomiędzy przedmiotem widzianym, a nim samym; kapitan Pamphile nie omylił się w swém strategiczném wyrachowaniu; na szczycie pagórka znalazł się oko w oko z tém, co tak chętnie żądał, tylko kolor przedmiotu zawiódł kapitana, — nie był to murzyn, lecz niedźwiedź. Kapitan Pamphile rozpoznał niebezpieczne swoje położenie, lecz przypominamy czytelnikom, że aby wybrnąć z kłopotu w podobnym przypadku, godny ten marynarz nie tracił nigdy przytomności; rzucił wzrokiem wokoło siebie dla rozpoznania topograficznego położenia miejsca, i ujrzał, że nie było sposobu uniknąć źwiérza: na lewo toczyła rzéka głębokie nurty, i za bystro płynęła, aby ją przebyć wpław; wystawiałby się tym sposobem na daleko większe niebezpieczeństwo, którego unikał; na prawo, ostre i prostopadłe skały, pochylne dla jaszczurek, lecz niedostępne dla każdego innego źwiérzęcia; w tyle i na przodzie droga, a raczéj ściéżka széroka, jak ta, na któréj Edyp spotkał Lajusa. Niedźwiedź ze swojéj strony zastanowił się o dziesięć kroków przed kapitanem, zdawający się sam namyślać nad tém spotkaniem ze szczególną rozwagą. Kapitan który napotykał w swojém życiu mnóstwo tchórzów udawających walecznych, pomyślał sobie, że niedźwiedź może także o tyle się bał jego, co on niedźwiedzia; postąpił więc na jego spotkanie. Niedźwiedź uczynił to samo; kapitan zaczynał już mniemać, że się omylił w swych domysłach, i zatrzymał się. Niedźwiedź zaś postępował wciąż. Niebezpieczeństwo stawało się jasne jak dzień; niedźwiedź nie był tymrazem tym, który się bardziéj lękał. Kapitan Pamphile ustępował się ile mógł na bok, aby otworzyć wolne przejście swemu przeciwnikowi, i nie cofnąwszy się jak tylko o trzy kroki wtył, już znalazł za sobą skałę; przyparł się do niéj, aby sobie tył zapewnić, i oczekiwał z godną uwielbienia przytomnością skutku.

Oczekiwanie to nie było długie; niedźwiedź będący z największego gatunku, przybliżył się do miejsca zkąd ustąpił kapitan Pamphile, poczém szedł prosto na niego. Położenie było krytyczne; była to pustynia, kapitan nie mógł liczyć na żadną pomoc ludzką, nie posiadał innéj broni, jak swój kij służący mu za laskę, sposób do obrony bardzo mizerny. Niedźwiedź nie był jak tylko dwa kroki od niego; kapitan wziął swój kij... i machał nim wkoło siebie; na ten widok niedźwiedź podniósł się na tylne łapy i zaczął tańcować.... Byłto niedźwiedź przyswojony, który urwawszy się z łańcucha, uciekł z Nowego Jorku, gdzie miał ten honor popisywać się swym talentem przed panem Jackson prezydentem Stanów Zjednoczonych. Kapitan Pamphile zapewniony tą gotowością swego nieprzyjaciela do tańca, spostrzegł nakoniec że niedźwiedź miał kaganiec, i że kawałek urwanego łańcucha ze sznurkiem wisiał u jego szyi; rozpoznał natychmiast korzyść, jaką mógł odnieść z podobnego spotkania człowiek, tak jak on przywiedziony do niedostatku; ujął więc niedźwiedzia tańcującego za pozostały kawałek postronka, uderzył go kijem po mordzie aby

zaprzestał tańczyć menueta i udał się razem z nim w drogę ku Filadelfii, prowadząc go za sobą jak psa na smyczy.

Po przepędzeniu jeszcze jednéj nocy pod gołém niebem, mając za swego stróża niedźwiedzia, który spał przy nogach swego nowego pana, kapitan Pamphile wszedł nakoniec wieczorem do miasta Filadelfii, zawsze jeszcze sposobem dzikich namalowany i ubrany, to jest: zasłonięty w pasie prostą skórą bobra, i mając za wprowadziciela w towarzystwo ludzi niedźwiedzia ucywilizowanego. Kapitan szukał gościnnego domu, lecz nie znalazł ani jednego oberżysty, którył chciał umieścić u siebie o jednéj godzinie niedźwiedzia i dzikiego człowieka; był więc więcéj zakłopotany w pośrodku stolicy Pensylwanii, aniżeli we wnetrzu lasów nad rzeką śgo Wawrzeńca; gdy w tém ujrzał szynkownią jasno oświetloną, zkąd wychodziła mieszanina dźwięku śklanek, hałasu, śmiéchu i przeklinań; pomyślał więc sobie czyby tam przypadkiem nie znalazł kogo ze swoich ziomków, nadzieja wstąpiła do jego serca, wszedł więc tam z niejaką otuchą, gdy nagle zatrzymał się jak przybity do miejsca; gdyż pośród tego hałasu, usłyszał znaną piosnkę, śpiéwaną przez jednego z pijących; pozostał w miejscu z wyprężoną szyją i nadstawioném uchem, wątpiąc jeszcze, tyle mu się zdawało to niepodobném; lecz wkrótce przy powtórzeniu zwrotki przez cały chór, niepozostała mu żadna wątpliwość, miał przed sobą współziomków; postąpił więc kilka kroków naprzód i zatrzymał się znowu, lecz tym razem twarz jego przybrała wyraz zadziwienia w najwyższym stopniu; nie tylko ci ludzie byli jego współrodacy, nie tylko ta piosnka była mu znana, lecz ten który ją śpiéwał, był to Polikar. Osada okrętowa z Roxolany przejadała i przepijała jego ładunek w Filadelfii

Kapitan Pamphile niewahał się ani na chwilę co miał przedsięwziąć; dzięki golarzowi i malarzowi dzikiego rozbójnika, niemógł być poznanym nawet od swego najlepszego przyjaciela; otworzył więc śmiało drzwi od szynkowni i wszedł ze swoim niedźwiedziem. Powszechne hurra przywitało nowoprzybyłych. Wątpliwość na chwilę opanowała kapitana Pamphile, zapomniał jak ma nakazać mu, aby rozpoczął taniec i resztę popisów, lecz szczęściem, pojętny źwiérz, na widok publiczności, rozpoczął bez rozkazu sam swoje skoki. Majtkowie z zadziwieniem powłazili na krzesła i ławki by się temu widokowi lepiéj przypatrzyć. Polikar usiadł na piecu, i tak widowisko się rozpoczęło. Wszystko co było w możności nauczyć niedźwiedzia, to niedźwiedz kapitana Pamphile umiał; tańczyl menueta jak Vestris, wsiadał na konia na trzonku od miotły, ani mniéj ani więcéj jak czarownik, i wskazywał największego pijaka w kompanii; wszyscy uradowani byli z tego widowiska, a Polikar oznajmił, że jakąkolwiek cenę pan tego niedźwiedzia żądać będzie za swego wychowańca, zapłaci mu za niego na podarunek dla jego czeladzi okrętowéj. Postanowienie to przyjętém zostało przez powszechne wiwat! Wniosek był powtórzony na prawdę, kapitan żądał dziesięć talarów za niedźwiedzia. Polikar który był w sztosie wspaniałomyślności, ofiarował mu piętnaście, aby tylko natychmiast przeszedł w posiadanie źwiérzęcia; co zaś do kapitana Pamphile, wyszedł cichaczem podczas powtórnego przedstawienia sztuk niedźwiedzia, czego majtkowie zabawą zajęci, nie tylko że nie uważali, ale nawet żaden najmniejszego podejrzenia nie powziął.

Tymczasam kapitan Pamphile nie tracił czasu, wszedłszy do szynkowni, jedném okiem patrzył na popisującego się niedźwiedzia, a drugiém liczył majtków; wszyscy aż do ostatniego byli w izbie szynkownéj; był więc pewnym, że ani jeden niezostał na statku; Double-bouche jeden tylko nieznajdował się w tém zgromadzeniu; kapitan wnioskował, że go zostawiono na okręcie z bojaźni, aby nie nabrał chęci uciekać do Marsylii; tym sposobem przez to wyrachowane wyrozumowanie kapitan Pamphile obrócił swe kroki ku zatoce. Przybywszy do portu rzucił badawczym wzrokiem na wszystkie statki będące na kotwicy, a pomimo ciemnéj nocy, rozpoznał o pięćset kroków od siebie Roxolanę kołyszącą się spaniale od igrających bałwanów morskich; nie ujrzał ani jednego światła na pokładzie, nic coby oznaczało że statek zamieszkały. Kapitan odgadł wszystko. Bez straty czasu, rzucił się w wodę i popłynął w cichości ku stronie okrętu.

Kapitan Pamphile dwa razy okrążył statek Roxolana, aby się zapewnić czy nikt nie czuwa na pokładzie, poczém wśliznął się na maścik, na sztabie leżący, uchwycił drabinkę sznurową i zaczął po niéj wstępować, zatrzymując się na każdym stopniu i nadstawiając ucha, czy nie usłyszy jakiego głosu; lecz naokoło panowało głębokie milczenie. Kapitan postąpił jeszcze jeden krok wyżéj i stanął na pomoście swojego okrętu; tu dopiéro zaczął wolniéj oddychać, był nakoniec jak gdyby u siebie.

Piérwszą czynnością kapitana Pamphile było, zmienić swój ubior, ten albowiem który miał na sobie, przybliżał się zanadto do naturalnego, i mógł łatwo zaprzeczać tożsamości jego osoby; zeszedł więc na dół do swego dawnego pomieszkania, gdzie znalazł wszystko na swojém miejscu; jedynę odmianę znalazł, że Polikar wszystkie swoje rzeczy tam kazał poznosić, a jako staranny człowiek, zapakował wszystkie rzeczy kapitana w tłómok. Porządek dawny zachowany był do tego stopnia, że kapitan nie potrzebował jak tylko wyciągnąć rękę, gdzie zwyczajnie kładł zapałki fosforyczne, aby znaleźć je na swojém miejscu; tym sposobem przy dziewiątéj próbowanéj zapałce, miał u siebie światło. Zajął się

natychmiast toaletą; było to już wiele wziąć w posiadanie statek, lecz pozostawało mu ugruntować się w swoim dawnym stopniu; rzecz ta była trudna do wykonania; kapitan za pomocą wody i serwety, pozbył się przez mocne tarcie ozdób malowanych na swojéj twarzy, przejrzał się następnie w źwierciedle, a chociaż twarz jego bardzo mało była zajmująca, czuł jednak wewnętrzne ukontentowanie, widząc się znowu takim samym jak go dawniej wszyscy znali.

Po téj pierwszej przemianie kapitan rozpakował swój tłómok, ubrał się kompletnie, zatknął za pas pistolety ozdobione srebrem, zgasił światło i wszedł na pokład okrętu; znalazł tam tę samę samotność i cichość. Double-bouche nie pokazał się jeszcze; szczęściem że kapitan Pamphile wiedział gdzie go ma szukać, znając jego zwyczaje; postąpił więc bez wahania ku schodom prowadzącym do kuchni; zchodził z uwagą i w cichości, a przez otwarte drzwi spostrzegł że zajęty gotowaniem kolacyi składającéj się z kawałka świeżego sztokfiszu. Zdaje się, że w momencie gdy kapitan Pamphile nadszedł, ryba dochodziła do stopnia zupełnéj gotowości, ponieważ Double-bouche ukończył nakrycie stołu, wyłożył rybę z rondla na talérz, postawił go na stole, wypił miarkę wódki, a bojąc się aby mu nie brakło napoju podczas przygotowanéj biesiady, wziął dzbanek, wyszedł przez drzwi prowadzące do składu wina. Kolacyja była zupełnie gotowa, a kapitan czuł głód, wszedł i usiadł do stołu.

Bądź że kapitan od piętnastu dni nie kosztował potraw europejskich, bądź że Double-bouche miał szczególny talent w sztuce, którą przygotowywał sam dla siebie jako amator; dosyć że ten który z tego korzystał, chociaż nie było sporządzoném dla niego, znalazł potrawę wyborną i nie był leniwy w jedzeniu; a gdy był najbardniéj zajętym, usłyszał za sobą krzyk, obrócił głowę i ujrzał jak Double-bouche stał na progu drzwi oniemiały, blady i nieruchomy; miał kapitana Pamphile za zjawisko ducha: chociaż ten oddawał się czynności, należnej wyłącznie tylko do mieszkańców tego świata. — »Czemuż tak stoisz hultaju,« rzekł kapitan. »Obaczmy co tam robiłeś? nie widzisz że prawie umiéram z pragnienia? dawaj żywo pić!» — Double-bouche czuł że kolana pod nim drżały, a zęby szczękały. — »Do kogoż ja to gadam,« mówił daléj kapitan nadstawiając szklankę. Double-bouche przybliżył się z takim wstrętem, jak gdyby szedł na szubienicę, chciał być posłusznym, lecz z wielkiego strachu rozléwał wino, połowę lał do szklanki, a połowę na ziemię; kapitan udał jakby nie postrzegł jego niezgrabności, przyłożył szklankę do ust i wypił z wielkim smakiem. »Łotrze!» rzekł: »widać, że znasz się na dobrych rzeczach, a zkądże masz to wino, powiedz panie piwniczy?»—»To,« odpowiedział Double-bouche, będąc na ostatnim szczeblu przestrachu, »to z trzeciéj beczki na lewo.» »Aha, to jest Bordeau Lafitte. Ty lubisz Bordeau Lafitte?... Pytam się ciebie czy lubisz Bordeau Lafitte?... Odpowiadaj że przecie.» »Lubię« odpowiedział Double-bouche, »lubię kapitanie... tylko...« »Tylko bez wody nieprawdaż?» rzekł kapitan, »a więc pij je tak czystém, jak jest, moje dziécię.» — To mówiąc wziął z jego rąk dzbanek, nalał drugą szklankę wina i podał mu. Double-bouche wziął ją, wahał się jeszcze kilka chwil, potém nabrawszy rozpaczliwéj odwagi: »Zdrowie wasze kapitanie!» rzekł majtek kucharz i połknął szklankę pełno nalaną, wpatrując się mocno w kapitana. Skutek wina był prędki, Double-bouche przyszedł do przytomności. »A więc,« rzekł kapitan, którego baczności nie uszło polepszenie w sile fizycznéj i moralnéj kucharza okrętowego, »teraz gdy wiém twój gust do sztokfiszu i do Bordeau Laffitte, mówmy cokolwiek o naszych okolicznościach. Co się tu stało odkąd ja opuściłem statek?» — »Kapitanie! mianowali Polikara na waszém miejscu.» — »Patrzaj,» — » Potém ułożyli popłynąć do Filadelfii, zamiast powrócić prosto do Marsylii, aby tam sprzedać połowę ładunku.» — »Anim myślał o tém.» — »A nawet już przedali, i od trzech dni przejadają to co nie mogli przepić.» — »Tak, tak,» odpowiedział kapitan; »widziałem ich przy robocie.» — »Otoż i wszystko kapitanie.″ — »Łotry! lecz zdaje się że dosyć temu. A kiedyż mają odpłynąć?» — »Jutro.» — »Jutro? w sam czas przybyłem; słuchaj Double-bouche, mój przyjacielu, ty lubisz dobrą kolacyją?″ — »Tak jest kapitanie lubię.» — „Dobrą pieczeń wołową?» — »Także lubię.» — »Pieczone ptaszki?» — »W każdym czasie kapitanie.» — »A Bordeau Laffitte?» — »Aż do śmierci!» — »A więc Double-bouche mój przyjacielu, mianuję cię kuchmistrzem na okręcie Roxolana z pensyją sto talarów na rok i dwudziestą częścią zdobyczy.» — »Czy doprawdy?» zapytał Double-bouche. — »Daję ci słowo honoru» odpowiedział kapitan. — „Przyjmuję kapitanie, a coż potrzeba abym czynił?″ — »Trzeba milczeć.» — »Bardzo łatwo.» — »Nikomu nie mówić że ja żyję.» — »Bardzo łatwo.» — »A w przypadku gdyby jutro nie odjechali, abyś mi przyniosł gdzie będę ukryty, cokolwiek z tego dobrego sztokfiszu i tego wybornego Bordeau Lafitte.» — »Z całego serca! A gdzie się ukryjecie kapitanie?» — »W składzie prochu, a to na przypadek, jeżeli mój zamysł się nie uda wysadzić was wszystkich w powietrze.» — »Dobrze kapitanie, będę się całą siłą starał, abyście byli ze mnie kontenci.» — »Więc rzecz skończona?» — »Tak jest kapitanie.» — »Przyniesiesz mi dwa razy na dzień sztokfiszu i Bordeau?» — »Tak jest kapitanie.» — „A więc dobranoc.“ — „Dobranoc kapitanie, życzę snu dobrego.“

Życzenie to dla kapitana było niepotrzebne, nasz godny marynarz jakkolwiek był zahartowanym i silnym, upadał ze znużenia; wszedłszy więc do składu prochu, i drzwi od środka za sobą zamknąwszy, zaledwie sobie zdołał urządzić miejsce zamiast łóżka pomiędzy dwiema beczkami i podsunąć baryłkę pod głowę; położył się wysilony i zasnął głęboko i spokojnie, jak gdyby nie opuszczał swego okrętu przez okoliczności dopiéro co opisane. Kapitan spał dwanaście godzin jednym ciągiem; gdy się obudził, poczuł po poruszeniu Roxolany, że się udał w dalszą podróż; podczas jego snu, okręt podniósł kotwicę i odpływał na wysokie morze, ani domyślając się nawet przybytku kapitana. W pośród hałasu i zamieszania, które towarzyszą zawsze odjazdowi; kapitan usłyszał szorowanie po drzwiach swego ukrycia; byłto Double-bouche, który mu przynosił racyją.

— „A co mój synu,“ rzekł kapitan, „jużeśmy odpłynęli?“—„Tak jest kapitanie.“— „A dokąd?“— „Do Nantes“— „Gdzież jesteśmy?“—„Na wysokości Reedy Island.“ — „Dobrze, czy wszyscy są na pokładzie?“ —„Tak jest, wszyscy.“— Nie zwerbowali nikogo?— „Zwerbowali kapitanie niedźwiedzia.“ — „Dobrze, kiedyż będziemy na wysokiém morzu?“— „Tego wieczora; mamy bardzo pomyślny wiatr, a pod Bombay Hook będziemy miéć przypływ morza.“ — „Dobrze, któraż godzina teraz?“ — „Dziesiąta.“ — „Jestem zupełnie zadowolony twojém postępowaniem i twoją usłużnością, i dodaję ci sto liwrów do twojéj pensyi.“ — „Dziękuję kapitanie.“ — „Teraz wysuń się ztąd żywo i przynieś mi obiad o szóstéj godzinie.“ — Double-bouche uczynił znak, że będzie posłuszny

rozkazowi, i wyszedł zachwycony zachowaniem się kapitana.

Dziesięć minut potém, gy kapitan skończył śniadanie, usłyszał krzyk swego powiernika, rozpoznał natychmiast po odstankowym odgłosie, że był karany. Naliczył dwadzieścia pięć razów z niemiłą niespokojnością i miał przeczucie, które odpowiadało karze odbiéranéj przez jego powiernika. Jednakowo gdy hałas ustał, i nic nie oznaczało szczególnego wypadku na pokładzie, a Roxolana płynęła swoją drogą, niespokojność go opuściła. — W godzinę potém poznał po toczeniu się statku, że powinien być na wysokości Bombay-Hook, gdyż poruszenie upływem morza, nastąpiło po przypływie. Dzień cały tym sposobem przeszedł. Około godziny siódméj wieczorem zaszorowano na nowo po drzwiach prochowni; kapitan Pamphile otworzył, a Double-bouche wszedł do niego po raz drugi. „Ach! mój synu," rzekł kapitan, „co tam nowego na pokładzie?" — „Nic kapitanie." — „Zdaje mi się, żem cię słyszał śpiewającego piosnkę żałośliwą, którą dobrze znam?" — „Ah! tak tego rana." — „Aha! tak." — „Dali mi dwadzieścia pięć dyscyplin." — „A te za co? Opowiedz mi rzecz całą." — „Za co? Oto za to, że mię widzieli tutaj wchodzącego, i pytali co tam robiłem." — „Są bardzo ciekawi; a co im odpowiedziałeś tym ciekawym natrętom?" — „Odpowiedziałem, że chodziłem kraść proch do robienia rac." — „I za to dali ci dwadzieścia pięć dyscyplin?" — „Bierz ich licho, jednak to nic nie szkodzi, lada wiatr to prędko wysuszy." — „Sto liwrów więcéj na rok za te razy któreś otrzymał." — „Dziękuję kapitanie." — „A teraz zrób sobie lekkie nacieranie rumem zewnątrz i wewnątrz i idź spać. Niémam potrzeby powiedzieć ci gdzie jest rum." — „Nie kapitanie." — „Bądź zdrów mój waleczny." — „Dobranoc kapitanie." — „Ale, ale, gdzie teraz jesteśmy?" — „Przechodzimy pomiędzy przylądkiem May a przylądkiem Haclopic." — „Dobrze, dobrze!" — rzekł kapitan — „we trzy godziny będziemy na morzu;" poczém Double-bouche zamknął drzwi, zostawując go w pełnéj nadziei.

Cztery godziny upłynęły bez żadnéj odmiany w położeniu osób obustronnych, składających osadę Roxolany, tylko że upływały wolniéj i napełniały niespokojnémi troskami kapitana Pamphile. Przysłuchiwał się z natężoną uwagą rozmaitym odgłosom, które mu wskazywały co się działo wokoło niego i nad nim, słyszał majtków kładących się spać w hamakach, widział przez szczeliny w drzwiach jak gasili światło i wkrótce uważał że się wszystko uciszyło; poczém nastąpiło chrapanie, a kapitan Pamphile przekonany, że może się już odważyć wyjść ze swego ukrycia, otworzył drzwi od prochowni i wzniósł głowę nad pomost; cichość panowała wszędzie, jak w sypialni klasztornéj. Kapitan Pamphile wszedł po sześciu schodach prowadzących do kajuty kapitańskiej i postąpił ostrożnie na palcach aż do samych drzwi, znalazł je na wpół otwarte, zatrzymał się moment aby odetchnąć, poczém spojrzał do środka. Pomieszkanie było oświetlone tylko przez słabe promienie księżyca; oświetlały one człowieka przechylonego w oknie, z tak natężoną uwagą na jakowyś przedmiot spoglądającego, że nie słyszał nawet kapitana Pamphile otwiérającego drzwi i zasuwającego je za sobą na rygiel. To szczególne zajęcie się tego, z którym miał mieć do czynienia, i w którym doskonale rozpoznał Polikara, chociaż był do niego tyłem obrócony, odmieniło cały plan w zachowaniu się kapitana Pamphile, wetknął napowrót za pas pistolet, który w połowie już był wyciągnął, przybliżył się wolno i po cichu do Polikara, zatrzymując się za każdym krokiem, nakoniec, gdy się już do niego samego przybliżył, nauczony postępowaniem zdradzieckiém, którego sam był ofiarą w podobnéj okoliczności, pochwycił Polikara jedną ręką za kołnierz od surduta, a drugą za spód pantalijonów, podniósł go do góry nogami, tak jak to pierwéj czuł wykonywaném na sobie, i wprzód nim miał czas uczynić jakikolwiek opór, wysłał go do obejrzenia bliżéj przedmiotu, na który z takiém zajęciem patrzył. Poczém widząc, że ten wypadek nie przerwał snu spokojnéj osadzie, i że Roxolana wciąż toczyła się jednostajnie po morzu, położył się spać spokojnie w swoim hamaku, który tem bardziej oceniał, że już od niejakiego czasu w nim nie sypiał, i zasnął wkrótce snem sprawiedliwych.

Tymczasem przedmiot na który Polikar całą swoję uwagę zwrócił, był pies morski zgłodniały, płynący za torem okrętu w nadziei, czy nie wypadnie dla niego w pokarm cokolwiek.

Nazajutrz równo ze dniem kapitan Pamphile wstał, zapalił fajkę i wszedł na pokład. — Majtek będący na straży, przechadzając się wzdłuż i poprzek okrętu dla zagrzania się od zimna porannego, widzi podnoszącą się najprzód głowę, poczém ramiona, piersi, a nakoniec nogi, — zatrzymuje się jak osłupiały, myśląc że to sen; majtkiem tym był Jérzy, któremu kapitan przed piętnastą dniami kazał wytrzepać suknie. Kapitan przeszedł około niego, nie dając wcale baczności na jego zadziwienie, i usiadł podług dawnego zwyczaju na ławeczce; przeszło tym sposobem pół godziny, gdy inny majtek wszedł na pokład zluzować pierwszego ze straży, lecz zaledwie się pokazał, stanął jak wryty spostrzegłszy kapitana. Mówiono, że ten waleczny marynarz posiadał jak Perseusz głowę Meduzy. — „Nuże!" zawołał kapitan Pamphile po chwili milzenia... „co ty robisz Baptysta? nie zluzujesz-że tego walecznego Jerzego, który przemarzł od zimna;... już od trzech godzin jest na straży... co to ma znaczyć... prędzéj... prędzéj, spieszcie się troszkę!" Majtek wykonał z machinalném posłuszeństwem ten rozkaz i zajął miejsce swego towarzysza. „Tak się należy" — mówił daléj kapitan... „każdy przyjdzie na koléj, to bardzo sprawiedliwie... teraz przybliż się Jerzy, mój przyjacielu, weź moję fajkę, która zgasła, zapal ją, i niech wszyscy razem mnie ją przyniosą." — Jérzy drżący, wziął fajkę zeszedł po schodach zataczając się jak pijany pod pomost i pokazał się wkrótce z fajką zapaloną w towarzystwie całéj osady cichéj i oniemiałéj z podziwienia. Majtkowie uszykowali się na pokładzie, nie wymówiwszy żaden ani jednego słowa..

Natenczas kapitan Pamphile wstał i przechadzał się po statku z jednego końca na drugi, wszerz i wzdłuż jak gdyby nic się było nie wydarzyło; przy każdym przechodzie majtkowie ustępowali się przed nim, jak gdyby jego dotknięcie się było dla nich śmiertelném, a tymczasém nie miał nawet żadnéj broni przy sobie, był sam jeden, gdy ich było siedmdzisięciu, i mieli pod swoją mocą cały arsenał Roxolany. W końcu kwadransa tego cichego przeglądu, kapitan zatrzymał się przy skrzydle szeregu, spojrzał naokoło siebie, i zeszedł po schodach; wszedł do swego gabinetu i rozkazał dać śniadanie. Double-bouche przyniósł mu kawałek wybornie sporządzonego sztokfiszu i butelkę Bordeau Laffitte.. Wszedł już w służbę kuchmistrza. Była to jedyna odmiana na statku Roxolana w przejeździe z Filadelfii do Hawru, gdzie wylądował po

trzydziestu dniach szczęśliwéj żeglugi,— wylądowując jednego człowieka mniéj, lecz o jednego niedźwiedzia więcéj.

Pytanie.

Śród mnogich rozpraw i rozprzeczek wiela,
Uczeń zapytał nauczyciela:
Niech mi pan powie, gdyśmy w to już przyśli:
Czy myśl z idei czy ideja z myśli?
Głęboko pytasz, nauczyciel rzecze,
Oddawna o tém rozmaicie bają;
Piérwej twój rozum niech tego docieczе:
Co było wprzódy: czy kura czy jajo?..,

Wiadomości literackie.

Ze Lwowa: *Tygodnika rolniczo-przemysłowego* T. W. Kochańskiego wyszedł nr. 6ty i zawiéra: 1) Sprawozdanie z dziewiątego zgromadzenia niemieckich gospodarzy, odbytego w Wrocławiu na dniu 8mym września r. z. (Ciąg dalszy. 2) O przyczynach złego stanu prywatnych lasów. (Dokończenie.) 3) O wystawie płodów przemysłowości w Wiedniu. Przez Józefa Żywickiego. (Ciąg dalszy.) 4) Doświadczone lekarstwo na stowrzód (motylicę) u bydła i owiec. 2) Wiadomości handlowe.

Dziennika mód paryskich pod redakcyją Tomasza Kulczyckiego, wyszedł nr. 4ty i zawiéra, prócz mód następujące szczegóły: 1) Zbrodnia i wyrok przysięgłych. (Ciąg dalszy.) 2) Prolog z dramatu historycznego „Jerzy Lubomirski.“ — przez K. Szajnochę.

Ostatnie chwile dziewicy Orleańskiéj. Któż nie podziwiał „Dziewicy orleańskiéj“ na scenie! Wszakże dziewica orleańska na scenie a w historyi, są to dwa wcale różne zjawiska. Sentymentalne serce poety nie mogło znieść rozdzierającéj prawdy dziejów, i zamiast w ręku nieprzyjaciół, na stosie, dało jéj skonać zwycięzko, na polu sławy, wpośrodku swoich — szczęśliwéj. Tymczasem w dziejach spełnia ona do dna męczeński kielich swojego wielkiego posłannictwa, a ostatnie jéj chwile, jak nam je Barante w „Historyi książąt Burgundzkich“ przedstawia, należą do najtraiczniejszych scen dziejów ludzkich. Pojmaną przez żołdaków książęcia Bretańskiego, wykupili ją sobie Anglicy od nich, nie chcąc żadną miarą dopuścić, aby pogromczyni hardéj Brytanii, od cudzych rąk ginęła. Jakoż uwzięli się okrutnie ją zamordować, a dla tém dłuższego pastwienia się nad nią, włóczono ją zrazu po różnych więzieniach i dopiero po sześciomiesięcznej niewoli przyprowadzono ją do Rouen i oddano pod sąd biskupowi z Beauvais, Piotrowi Cochon. Ten wraz z kilku pomocnikami, i licznem zgromadzeniem „doktorów“ wytoczył przeciw niéj naprzód sprawę o czarnoksięztwo, o związki z szatanem, o zczarowanie króla i t. p., lecz gdy na wszelkich zwykłych dowodach czarodziejstwa zbywało, musiano poprzestać na mniejszych oskarżeniach, mianowicie na obwinieniu ją o noszenie męzkich sukień, co podług wyobrażenia trybunału, jawną obrazą bożą było. Zą tenże występek została dziewica na wieczne więzienie o chlebie i o wodzie skazaną, a oraz była zmuszoną wyprzysiądz się na zawsze sukień męzkich, których powtórne użycie naraziłoby ją na karę nieporawnych zbrodniarzy przeciw Bogu, to jest na śmierć w płomieniach. Już się Anglicy lękali, iż ofiara im uszła, ale podstępni sędziowie cieszyli się nieochybną nadzieją popadnienia Joanny w karę niepoprawnych. Widząc zaś, iż dziewica w więzieniu żadnéj ochoty do przybrania męzkich sukień nie okazywała, wykradziono jéj suknie żeńskie, podłożono natomiast męzkie, i czatowano skrycie, kiedy zmuszona do wychylenia się z łoża, przywdzieje mimowolnie ten jedyny pozostawiony strój męzki. Stało się to nareszcie, a natenczas Anglicy w radość! sędziowie uznali ją za niepoprawną, i winną śmierci, i zapowiedziano jéj blizkie stracenie na stosie. „O Boże!“ wskrzykuęła biedna dziewica, zalewając się łzami i targając sobie włosy w rozpaczy „spalić w popiół to ciało, które tak jest czyste! i nigdy nic nieczystego nie znało! Wolałabym, aby mi raczéj siedm razy głowę ścinano!...“ A po chwili, uspokoiwszy się, rzekła do nawidzającego ją księdza: „Ach, ojcze Piotrze, gdzieżto ja dzisiaj będę?“ — „Jakto, czyż nie masz nadziei w Bogu?“ odpowiedział zagadniony. — „Ach tak jest“ — ozwała się — „tak jest, mam w Bogu nadzieję, iż wkrótce będę w raju.“ — Przybywszy zaś na plac tracenia: „O, Rouen, Rouen“ — zawołała — „w twoichże to murach umiérać muszę!“ — Gdy przy odczytaniu wyroku, sędzia królowi francuzkiemu, Karolowi VII przyganiał, że zaufał czarodziejskim sztukom dziewicy, przerwała mu Joanna, mówiąc: „Praw mi o mnie, a nie o królu. Król Karol jest dobrym Chrześcijaninem, i mogę przysiądz że to najszlachetniejszy z rycérzów!“ Tak dalece przebaczała ona mu jego niegodną i niewdzięczną opieszałość we wstawieniu się za nią u króla angielskiego! W końcu uklęknęła przed stosem i modliła się tak rzewnie, iż sami nieprzyjaciele tego widoku znieść nie mogli, i ze łzami odeszli. Na jéj żądanie podano jéj naprzód krzyż drewniany, który gorąco ucałowała, a potem posłano po krzyż kościelny. Nim ten przyniesiono, znudziła się straż angielska i rzekła: „Cóżto, pocóż będziem czekali, czyż mamy tu z nią jeść obiad. Daléj, kacie, bierz się do dzieła!“ Zaczém porwano ją coprędzéj, zawleczono ją przemocą na stos i podłożono ogień. „W górę, w górę krzyż trzymaj!“—błagała nieszczęśliwa stojącego przed sobą księdza— „abym go mogła widzieć śród płomieni, i mów, mów ze mną modlitwę!“ — Wreszcie rzekła jeszcze „O Jezu! Jezu!“ — i już jéj nie widziano. A gdy wszyscy do domu się rozchodzili, sami Anglicy skruszeni widokiem jéj bogobojnéj śmierci, rozmawiali pomiędzy sobą: „Byłto męczeński koniec, i dziękujemy Bogu, że nam nań patrzyć dozwolił, gdyż byłato zaiste święta dziewica.“

Mniejsza o piosnkę byle ochota do śpiewania. To dawne przysłowie sprawdziło się najdowodniej na północnych Amerykanach i ich spiewce narodowéj, zwanéj *Yankee doodle*, która osobliwszym sposobem u nich się upowszechniła. Gdy kraje Północnéj Ameryki jeszcze kolonią angielską były, a Anglija z Francyją w Kanadzie wojowała, musieli także Północni Amerykanie przystawić posiłkowe milicyje na tę wojnę. Lecz, Boże! cóżto za niezgrabna, obdarta, komiczna armija była! Najpoważniejsi jenerałowie angielscy musieli pękać od śmiechu na jéj widok, a niejaki dr. Stelbury, lekarz sztabowy a przytém słynny w całém angielskiém wojsku żartowniś, słysząc niegodziwą muzykę wojenną milicyj amerykańskich, ułożył na pozor w dobréj chęci, lecz rzeczywiście dla wyśmiania Amerykanów, słowa i nutę piosnki szydebnéj, któréj jednemu z amerykańskich oficerów jako najsławniejszego w armii angielskiéj

marszu, do użycia go także w pułkach amerykańskich udzielił. Amerykanom podobała się ta nuta, Anglicy śmieli się z nich do woli — lecz we 20 lat później, przy dźwiękach téjże saméj piosnki szydebnéj musiała cała armija angielska pójść w niewolę wojenną do obozu zwycięzkich Amerykanów.

Konie i wilcy. W rossyjskich stepach, na których jak wiadomo liczne stada koni się pasą, znajduje się także wiele wilków, które często ataki do koni przypuszczają. Te walki kończą się zazwyczaj bardzo krwawo, ponieważ wilcy nie zawsze dość wcześnie z porwanym łupem ujść zmogą, a konie krwawym nieraz mszczą się za ich napaść odwetem. Przy piérwszym alarmie nadciągającej czeredy wilków skupia się całe stado w ścisłą kolumnę, biorąc źrebięta do środka, i postępuje ze rżeniem naprzód. Najśmielsze ogiery odłączają się nawet z szeregów i cwałują pojedynkiem naprzeciw wilkom. Spotkawszy się, skacze wilk ogierowi na piersi, lecz kilka silnych wierzgnień przedniemi nogami rzucają drapieżnego napastnika o ziemię. Potém chwyta go ogier za kark zębami i potrząsa nim w powietrzu, jak pies, gdy szczura złapie. Niekiedy zdarza się że ogier przyklęka na powalonym nieprzyjacielu. Skoro zaś tak szczęśliwie piérwszemu natarciu wilka się oparł, i za kark go uchwycił, zbiega się całe stado i termosi biednego wilka po śniegu, aż dopóki nie zginie. Niechże jednak wilkowi powiedzie się uchwycić konia za gardziél, natenczas przeżre ją w oka mgnieniu. Dlatego też koń broni się z wściekłością, a wilcy, chociażby ich daleko więcéj niż koni było, skoro tylko stado w porządnym szyku bojowym przeciw sobie wyruszające ujrzą, natychmiast trwożnie uchodzą.

Zamiast okien śklannych w cieplarniach zaprowadzają teraz pewną białą cienką materyję bawełnianą, która wzrost roślin przysparza, nie jest tak krucha jak śkło, a zatém i mniéj kosztuje. Czegoż więcej potrzeba, aby je powszechnie zaprowadzić? Za pomocą pokostu, składającego się z 4 uncyj utartego na proszek suchego séra, 2 uncyj ugaszonego wapna i 4 uncyj zgotowanego oleju nadaje się téj materyi zupełnéj przezroczystości i dychtowności, która ją od deszczu ochrania. Olej łączy się bez trudności z resztą składowych części tych nowych osłon, które bez wątpienia wkrótce wszędzie po ogrodach się upowszechnią.

Początek toastów. Angielski zwyczaj wznoszenia toastów czyli wiwatów przy stole, pochodzi ztąd, iż w Anglii zazwyczaj w każdy dzban piwa kawałek przypieczonego chleba wrzucano, który się *toast* nazywa, a temu się dostaje, kto ostatek wypije. Owoż jednego razu, gdy sławna Anna Bolena, najpiękniejsza kobiéta swojego wieku, w łazience się kąpała, panowie z jéj orszaku, chcąc się jéj przypodobać, zaczerpnęli każdy po szklance z wanny i wypili tę wodę kąpielową. Tylko jeden nie chciał tegoż uczynić, a zapytany o powód, odpowiedział: »Ja sobie *toast* zachowuję.»

Niebezpieczny wynalazek. Co teżnasi panowie »wykonawcy sztuki szewskiéj» powiedzą, słysząc, iż ich starożytnemu jak świat rzemiosłu, już bardzo blizki jest koniec? Oto niejaki p. Emanuel Stolwit w Edymburgu wynalazł machinę, która sama trzewiki i bóty ze skóry, sukna i wszelakiéj materyi, dla pań i panów, fabrykuje. Te początkowe wyroby wyglądają dotąd jeszcze wprawdzie nieco niezgrabnie, lecz p. Stolwit tuszy sobie, iż wkrótce swoję machinę znacznie wydoskonali. Cena tych machinowych butów i trzewików jest o dwie trzecie części tańszą od zwykłéj. Machina do robienia butów sporządza dziennie par 12, machina trzewikowa codziennie par 30.

Środek przeciw otwiéraniu listów. Wiadomą jest rzeczą, iż zwyczajnym sposobem, bądźto lakiém, bądź opłatkami zapieczętowane listy, za pomocą delikatnéj, rozżarzonéj sprężynki, lub też pary wodnéj, z łatwością otwiérane być mogą. Użycie następnego bardzo pojedyńczego środka utrudnia toż otwiéranie tak dalece, iż chybaby list rozedrzeć potrzeba, aby go módz wyczytać. Należy zalepić list zwykłym opłatkiem, przybijając ten opłatek jak można najmocniéj do papieru. Po zaschnięciu opłatka, trzeba go kilka razy cienką igłą przekłuć, a potem bardzo gorącym i dobrze roztopionym lakiem przypieczętować. Tak zamkniętego listu ani najdelikatniejsza sprężyna ani też para nie otworzy.

Tancerka rossyjska. W Paryżu popisuje się teraz w wielkiéj operze rossyjska tancerka Adryanoff. Przy piérwszém jéj wystąpieniu, było z początku cicho, jakby mak posiał; po piérwszym jéj kroku zaczęto spoglądać po sobie z zadziwieniem, przy drugim zaczęto się uśmiéchać, przy trzecim — wszczął się okropny hałas: Rossyjanie klaskali w patryjotyczném uniesieniu, Francuzi śmieli się na całe gardło, *à coeur-joie*, jak oni mówią; byłoto srogie starcie się dwóch stron przeciwnych, nowa bitwa Mozajska. — Panna Adryanoff tańczy po rossyjsku. Taglioni i Carlotta Grisi przestawały na tańczeniu nogami: Panna Adryanoff tańczy zarazem ramionami, głową, nogami, nito prawdziwe *perpetuum mobile.* — »Że nam Rossyja naszę ulubioną Plessy zabrała,»— mówi Scribe— »można jeszcze przebaczyć; ale że nam Pannę Adryanoff zato przysłała, to niegodziwa zdrada! *Perfidie!*» — »Jakże się panu nasza Adryanoff podoba?» — zapytał książę Gagaryn krytyka Gustawa Planche. — „Jakże ma się podobać, kiedy jéj nie rozumiem» — odrzekł tenże. »Nie umiem po rossyjsku.»

Wyznanie. W pewnym procesie występowała dama jako świadek, i była przedewszystkiém przez sędziego o nazwisko i wiek zapytana. Odrzekła więc iż ma lat 28, a potém opowiedziała całe zdarzenie. Po niéj wystąpił drugi świadek, który tak oczywiście kłamał, iż sąd powodowanym się widział, zagrozić mu więzieniem, jeżeli najmniejszą nieprawdę powiadomo do aktów poda. I to nic nie pomogło; świadek coraz przesadniéj łgać nie przestawał, aż wreszcie sędzia woźnego przyzwał, aby go wziął natychmiast pod areszt. Na to, przestraszona dama postępuje blada i drżąca do sędziego i rzecze wzruszonym głosem, iż ma jeszcze coś powiedziéć.... „Panie sędzio, przykład tego fałszywego świadka skruszył mi sumienie; muszę wyznać, iż podałam fałszywe zeznanie do aktów, i sąd zawiodłam...“ — „Racz się pani jaśniéj tłumaczyć.“ — „Oto, panie prezesie, powiedziałam iż mam dopiéro lat 28, a ja, rzekła zspuszczonémi w dół oczyma, mam już z górą lat 32!“ — Wszyscy obecni, nie wyjąwszy i sędziów, uśmiechnęli się na to bardziéj prostoduszne niżli ważne wyznanie, a potém prezes oświadczył, iż mimo wszelką surowość prawa, nie jest jeszcze występkiem, jeżeli powołane do świadectwa damy, i w obec sądu nieco młodszémi być zechcą.

Redaktor Jan Nep. Kamiński. — Nakładem Spadkobierców Franciszka Krattera.
Drukiem Piotra Pillera.